

Nie oznacza to, że państwo winno przystąpić do generalnej odbudowy Kostrzyna i miast jemu podobnych. Mimo wszystko bowiem pierwszeństwo mają inwestycje związane z podniesieniem ogólnonarodowego potencjału gospodarczego. Zabudowywać i zagospodarowywać miasta podobne Kostrzynowi możemy stopniowo, z uwzględnieniem harmonijnego wzrostu wszystkich elementów składających się na organizm miejski. Naszym celem winno być nie odbudowanie w jak najkrótszym czasie miasta dorównującego przedwojnemu, ale — budowanie miasta na miarę potrzeb i możliwości jego zaludnienia. Na przykładzie Kostrzyna n/O widoczne jest, że nasze możliwości zaludnienia wielu terenów znacznie wyprzedzają istniejące na nich warunki, niezbędne dla wykorzystania tych możliwości.

W tym zakresie konieczne jest nie tylko zwiększenie nakładów inwestycyjnych, ale również rozluźnienie ograniczeń, krępujących inicjatywę gospodarczą. Ma to szczególne znaczenie dla poprawy wybitnie złej sytuacji w dziedzinie handlu i usług.

Na koniec nie wolno również zapominać o konieczności wytworzenia w takich miastach, jak Kostrzyn, atmosfery stabilizacji życia. Jest to niezbędny warunek wciągnięcia sił społecznych w dzieło odbudowy.

JÓZEF KONIECZNY

NA TROPACH PODRÓŻY P. CHARLES WASSERMANN

Przemiany październikowe w Polsce wzmogły zainteresowanie zagranicy naszym krajem, co ujawnia się m. in. w przyjazdach cudzoziemców. Jednym z nich był w lecie ub. roku p. Charles Wassermann, obywatel kanadyjski, dość znany ze swych podróży reporterskich po świecie, współpracownik radia i telewizji kanadyjskiej. Przybył wraz z żoną Jaqueline i razem z nią odbył samochodem podróż po Polsce, przebywając — jak podaje — ok. 7 tys. km. Będąc reporterem typu nowoczesnego, wrażenia swoje uzupełniał zdjęciami fotograficznymi oraz nagraniami na taśmie magnetofonowej z rozmów ze spotkanymi ludźmi. A ponieważ nikt w Polsce nie przeszkadza cudzoziemcom w poznawaniu kraju i ludzi, p. Ch. Wassermann miał wszelkie dane, by opinii zachodniej przedstawić życie polskie w jego najróżnorodniejszych przejawach.

Wynikiem podróży p. Ch. Wassermanna stała się książka pt. „Pod administracją polską”, wydana w języku niemieckim i angielskim, zaopatrzona w liczne ilustracje, przedstawiające dokonane przez autora zdjęcia w Polsce¹. Aby relacjom p. Wassermanna nadać możliwie wielki rozgłos, szerokie wyjątki z nich opublikował wychodzący w Hamburgu, a bardzo rozpowszechniony w całej NRF, tygodnik „Der Stern”. Zapoznanie się z treścią wywiadów p. Wassermanna wyjaśnia, dlaczego książka jego ukazała się tak szybko również w języku niemieckim i dlaczego nadaje jej się w NRF tak wielki rozgłos. Otóż w świetle tych wywodów ujawnia się p. Charles Wassermann, obywatel kanadyjski, jako gorliwy adwokat zachodniemieckich kół rewizjonistyczno-odwetowych i — podobnie jak one — ignoruje stan rzeczywisty na naszych Ziemiach Zachodnich, mijając się świadomie z prawdą.

Podróż prowadziła z Warmii i Mazur przez Wybrzeże, Pomorze, Ziemię Lubuską i Śląsk. Wiodła więc przez tereny najbardziej zniszczone w czasie wojny, której ślady są oczywiście w wielu miejscach jeszcze widoczne. Prowadziła ona jednak również przez tereny, na których — uwzględniając ogólne zniszczenia wojenne w naszym kraju i jego ograniczone możliwości finansowe i gospodarcze —

¹ Charles Wassermann, Unter polnischer Verwaltung — Tagebuch der Freiheit. Hamburg 1957, s. 320.

dokonano wielkiego dzieła odbudowy. Śladów odbudowy p. Wassermann jednak widzieć nie chciał, dostrzegając jedynie ślady wojny. Widział je nawet tam... gdzie ich nie ma, np. w Słupsku, o czym będzie jeszcze mowa.

Nie jest rzeczą ani możliwą, ani konieczną streszczenie wielkiego elaboratu p. Wassermanna, pełnego już nie tylko tendencyjnych, lecz w wielu wypadkach śmiesznych wprost „rewelacji”. Stąd polemizować z p. Wassermannem nie sposób. Błędne byłoby jednak ignorowanie jego „rewelacji”, które przez opublikowanie w języku angielskim i niemieckim dotarły do pewnego kręgu opinii zachodniej, a już co najmniej do ludzi, którzy z takich czy innych przyczyn interesują się naszymi Ziemiemi Zachodnimi. Ludziom tym, zwłaszcza jeśli są oni wobec nas przyjaźnie ustosunkowani, trzeba wykazać, ile właściwie warte są wywody p. Wassermanna.

W prasie polskiej znalazły one oczywiście szeroki oddźwięk i ogólne potępienie. Niektóre pisma zastosowały doskonałą metodę: oto wysłały swych współpracowników śladem podróży p. Wassermanna i na przytoczonych przykładach wykazały, jak on poszczególne fakty zmyślał, a niejednokrotnie wprost świadomie kłamał. Chociaż jest to bardzo poważny zarzut zwłaszcza wobec rangi, jaką p. Ch. Wassermann zajmuje, mimo wszystko, w dziennikarstwie „świata zachodniego”, to jednak, niestety, do innego wniosku dojść nie można.

Wassermann dotarł np. do Słupska, gdzie nie tylko dojrzał nie istniejące tam gruzy (w Słupsku mieszka obecnie 54 tys. mieszkańców wobec 51 tys. przed wojną), lecz w tych „gruzach” odbył rzekomo rozmowę z dentystą, niejakim Erichem Brandtem, Niemcem zamieszkałym i praktykującym w tym mieście. Według tego, co napisał p. Wassermann, dr Brandt był prześladowany przez Polaków, którzy odnoszą się do niego z pogardą, i żyje bodaj w nędzy oraz w ogóle przechodzi całą gehennę. Do Słupska udał się więc dziennikarz „Trybuny Ludu” J. Barszczewski, relacjonując następująco:

„Byłem w Słupsku, informowałem się o dra Brandta. Gospodarze miasta i pacjenci tego skądinąd wziętego dentysty, udzielili lakonicznych, ale wymownych informacji. Dr Brandt zajmuje 7-pokojowe mieszkanie w centrum Słupska, jest świetnie sytuowanym lekarzem — zarobki Brandta wg danych administracji skarbowej (nie muszę dodawać, że nie są one zbyt precyzyjne) wynoszą ponad 50 tys. zł rocznie. Żona lekarza jest — jak określają mieszkańcy — „królową” mody miejscowej, dzieci jeżdżą do innego miasta na lekcje muzyki”².

Można by przypuszczać, że dr Brandt w rozmowie z kanadyjskim dziennikarzem przedstawił się w roli „męczennika niemieckiego w Polsce”, ze względu na zamierzony bliski wyjazd do NRF? Niestety dla p. Wassermanna, nawet tej okoliczności łagodzącej nie można mu przyznać. W liście bowiem z dn. 6 V 58 do dra A. J. Kamińskiego, współpracownika agencji API, napisał dr Brandt m. in., że Wassermann zniekształcił sens krótkiej z nim rozmowy, a nawet „napisał takie rzeczy, o których w ogóle nie mówiłem”. Można wierzyć drowi Brandtowi, że nie mówił Wassermannowi o „bracie w Niemczech”, jeśli go nie posiada, ani też, że bezpośrednio po wojnie miał czworo dzieci i oczekiwał narodzin piątego, skoro — jak wynika z listu — sytuacja rodzinna przedstawiała się u niego inaczej. Dr Brandt wyjeżdża do NRF i zapowiada, że podejmie tam akcje, by wydawnictwo sprostowało odnoszące się do niego „relacje” p. Wassermanna³. — Nawet gdyby dr Brandt

² „Trybuna Ludu”, wyd. H z 8 V 1958 (Jerzy Barszczewski, Pełnym głosem).

³ „Głos Wielkopolski” z 13 V 1958 („Pan Charles Wassermann zmyśla”). „Herr Wassermann hat den Sinn einer kurzen Unterhaltung, die ich mit ihm bei einer zufälligen Begegnung im Juli 1958 in Słupsk gehabt habe, enstellt und meine Angaben in ein falsches Licht gestellt. Er hat auch Dinge geschrieben, die ich nicht einmal gesagt habe. Als Beispiel führe ich an, dass ich in Deutschland einen Bruder haben soll, dass wir unmittelbar nach dem Kriege schon 4 Kinder hatten und unser fünftes Kind erwarteten. ... — Sobald ich in Deutschland bin, werde ich von dem Verlag, der Herrn Wassermanns Bericht veröffentlicht hat, eine Berichtigung vornehmen lassen“.

wykazał tam dużo energii, to niełatwe będzie miał zadanie. Wassermann miał swój cel w deformowaniu wszystkiego, co widział i słyszał w Polsce, i tym się tłumaczy hałas reklamowy wokół jego książki w NRF: artykuły, recenzje i wywiady z nim, szczególnie w prasie rewizjonistycznej. Przy czym podkreśla się, że autor wyróżnia się „obiektywizmem” i dlatego jego ostatnia książka jest rzekomo „nieszminkowaną relacją obiektywnego świadka o nieszczęśliwej ziemi niemieckiej, pozostającej pod polską administracją”.

Cały ten „obiektywizm nieszminkowanej relacji” okazali w odpowiednim świetle dwaj dziennikarze wrocławscy J. Bartosz i A. Kubisiak, którzy również wybrali się w podróż, „śladami p. Wassermanna”, po czym ogłosili wyniki swego rekonesansu⁴. Sławy one w żadnym razie „wybitnemu dziennikarzowi świata wolnego” nie przynoszą. Wassermann zawiązał np. także do Świdnicy, gdzie, według jego relacji, miał mu miejscowy pastor ewangelicki Rutz oświadczyć m. in.:

„Pozwala nam się teraz na odprawianie nabożeństw, ale ciągle jeszcze mamy wielkie kłopoty. Jesteśmy całkowicie podporządkowani Polskiemu Kościołowi Ewangelickiemu. Jemu też przypadły wszelkie były dobra naszej gminy. Zanim tu przybyłem, wolno nam było zbierać się tylko w kaplicy chrztów”.

Pastor Rutz miał się żalić na prześladowania Niemców w Polsce itp. — Pastor nie może, niestety, zająć stanowiska wobec wywodów p. Wassermanna, gdyż zmarł w sierpniu ub. r., wkrótce więc po odwieczinach niemiecko-kanadyjskiego reportera. Na podstawie zebranych na miejscu informacji polscy dziennikarze określają pastora Rutzę jako „człowieka lojalnego, o bogoboju i pracowitym życiu”, nie ma więc podstaw, aby przypisać mu nieprzyjemne i fałszywe słowa, które mu włożył w usta p. Wassermann.

W Świdnicy znajduje się jednak inny jeszcze pastor, ks. Wajte, który sprawuje opiekę nad polską ewangelicką gminą wyznaniową. On to oświadczył dziennikarzom:

„Jeśli chodzi o sytuację niemieckiego kościoła ewangelickiego w Świdnicy, to relacja p. Wassermanna nie odpowiada prawdzie. Przyszedłem tutaj w r. 1953 i od samego początku moja współpraca z pastorem Rutzę układała się jak najlepiej. Prowadziliśmy długie i szczerze rozmowy, zapraszano mnie na święta rodzinne do jego domu i nie odniosłem nigdy wrażenia, jakoby Niemcy ewangelicy czuli się prześladowani. Kiedy tylko chcieli, odprawiali swe nabożeństwo w kościele. Zimą natomiast wszelkie nabożeństwa odprawiane są w kaplicy chrztów”.

W sprawie rzekomego rozgrabienia przez Polski Kościół Ewangelicki majątku gminy niemieckiej oświadczył ks. pastor Wajte:

„To już całkiem inna historia, o której p. Wassermann powinien był, moim skromnym zdaniem, coś napisać. W latach od 1946 do 1953 zarządzał tutejszymi dobrami kościelnymi niejaki Józef Kidon, były SA-man, który po wojnie, ukrywając się przed karą za różne przewinienia, wkradł się do zarządu dóbr kościelnych. W Świdnicy ożenił się z Niemką Joanną Hindemüt, nagrał co się dało i wyjechał do NRF. Co się więc stało z majątkiem gminy niemieckiej, z dywanami, meblami, naczyniami liturgicznymi i biblioteką, których wartość idzie w miliony złotych, o to należałoby zapytać Josepha Kidona, który obecnie przebywa w jednym z obozów przesiedleńczych pod Hamburgiem”.

Wassermann jednak swe fantazje nie ograniczył do dziedziny politycznej i religijnej. Zaproszony na obiad do pastorstwa Rutzów, pobiegł do samochodu, „by przynieść trochę konserw, mięsa i owoców, znanych gospodarzom jedynie ze słyszenia”. Na widok pomidorów z puszkii pastora miała zawołać płacząc przy tym

⁴ „Gazeta Robotnicza“ z 17/18, 19 i 26 V oraz 2 VI 1958. (A. Bartosz i A. Kubisiak, „Śladami p. Wassermanna”).

ze wzruszenia: „A więc coś takiego jest na świecie”, na widok zaś pomarańczy miała się 14-letnia córka pastorostwa zapytać: „Mamo, co to jest?” Niemiecko-kanadyjski reporter gra tedy na wszystkich strunach swej fantazji, by u czytelników zachodniemieckich wycisnąć jak najwięcej łez nad „tragicznym losem Niemców w Polsce”, pozostawiając swym rewizjonistycznym przyjaciółom, by te łzy zamienili w zapiekłą nienawiść do Polski. A oto relacja polskich dziennikarzy:

„Chcielibyśmy romawiąć z panią Rutz. Niestety tego dnia (14 maja) wyjechała ona do Wrocławia, by załatwić dla córki miejsce w IX klasie Szkoły Ogólnokształcącej z niemieckim językiem nauczania. Eveline (córka p. Rutz) chodzi teraz do klasy VIII w Wałbrzychu i do V klasy Szkoły Muzycznej w Świdnicy. Jej to pokazujemy 18 numer 'Sterna'. Czyta go powoli i uważnie. Skończywszy oświadcza: — 'Das ist Quatsch'. — Co mianowicie? — 'A cała ta historia z mięsem, pomidorami i pomarańczami. I to, że jestem niby taka dzika i nierozgarnięta. I jeszcze wiele innych rzeczy. Mama była wtedy oburzona z powodu tych pomidorów. Przecież podała dobry obiad. Weszłam akurat w chwili, kiedy to się działo. A z tymi pomarańczami to w ogóle nie rozumiem. Przecież żadnych pomarańczy na stole nie było. A gdyby nawet były, to na pewno nie zachowywałabym się tak, jak ten pan pisze. Dość często kupowali mi je rodzice, jak również wszystko inne, czego potrzebowałam. To nieładnie, że ten pan tak o nas pisze...'”.

Wassermann nie zawahał się więc nawet odplacić za udzieloną mu gościnność opisaniem domu gospodarzy jak jakiegoś domu prymitywnych ludzi, dla których nawet pomidory w pusze (czy sok pomidorowy) są czymś nadzwyczajnym. Inna rzecz, że pomarańcze są u nas do nabycia tylko od czasu do czasu, gdyż nie stać nas jeszcze na stały import owoców południowych, kiedy kraj nasz musimy stale jeszcze odbudowywać z ruin, jakie pozostawili u nas bliscy sercu p. Charles Wassermanna. Ale gdyby nawet pastorostwo w Świdnicy nigdy nie widzieli w naszych sklepach konserw pomidorowych, a ich córka ani nigdy nie widziała pomarańczy, ani też w szkole nigdy o nich nie słyszała, to — jak słusznie zauważa pisarz Wilhelm Szewczyk —

„jeśliby nawet wszystko to było prawdą, czy p. Wassermann ma prawo ilustrować tym przykładem swój ogólny wniosek o naszym kraju? Czy można nazwać uczciwą taką metodę obserwacyjną, która kliniczny wypadek uznaje za normę panującą w naszym kraju?”⁵

Niestety, niemiecko-kanadyjskiemu reporterowi nie można przyznać okoliczności łagodzących, mówiąc, iż tylko zbytnio przejąskrawił rzeczywiście zaistniałe fakty. Przy zbadaniu bowiem szczegółów pobytu p. Wassermanna w Świdnicy okazuje się, że racją ma młoda Eveline Rutz, określając jego wywody po prostu jednym słowem „Quatsch”!

Chociaż nie sprawia żadnej przyjemności demaskowanie małych kłamstewek p. Wassermanna, którymi chciał podbudować swój polityczny wypad przeciwko polskości Ziem Zachodnich, to jednak nie sposób nie zwrócić na niektóre z nich uwagi. Pisze więc p. Wassermann, że kiedy zamieszkał wraz z żoną we wrocławskim hotelu „Monopol”, otrzymał „pokój bardzo brudny, zaniedbany, z rozbitym łazienką, twardymi łózkami, powleczonej szarą bielizną”, że kiedy następnego dnia rano o godz. 7-ej pp. Wassermannowie udali się do restauracji hotelowej, kelnerzy na widok zagranicznych gości schowali się, rzucili się natomiast do obsługi przybyłych 2 oficerów, którzy wkrótce tak byli „kompletnie pijani”, że jeden z nich wpakował sobie szynkę do kieszeni munduru. Dalej twierdzi p. Wassermann, że mógł się z kelnerami porozumiewać tylko na migi. Na podstawie sprawozdawczości hotelowej obydwaj wspomniani dziennikarze mogli obecnie napisać:

⁵ „Trybuna Robotnicza“ z 10/11 V 1958. (Wis z, Sentymentalne pomarańcze).

„Wiadomo, że 12 czerwca 1957 r. służbę w sali śniadaniowej pełnili kelnerzy Szaliński i Magocki. Pierwszemu z nich przedstawiamy sprawę. Rozmawiamy po niemiecku. — Wypadek taki nie mógł mieć miejsca — twierdzi p. Szaliński. Po pierwsze; gość zagraniczny jest obsługiwany szczególnie grzecznie. Ja osobiście, oprócz niemieckiego, znam rumuński i francuski, a dogadam się też po angielsku i po włosku. Magocki również zna kilka języków”.

Dalsze szczegóły, przytoczone przez p. Wassermanna, okazały się podobnie bezpodstawne: jak wynika z paragonów odnośnego dnia, do godz. 9 w restauracji nie sprzedano ani wódki, ani piwa, wzmiankowana zaś przez niego kuchnia, mająca się rzekomo znajdować „obok za kotarą”, ... „najduje się w podziemiach gmachu. W dniu wizytacji dziennikarzy polskich pokój nr 26 (w którym mieszkali pp. Wassermannowie) zajmował reżyser Aleksandrescu z Bukaresztu. Oświadczył on:

„Dość dużo jeżdżę po świecie i mam doskonałą okazję do porównywania różnych hoteli. Z tutejszego pokoju jestem bardzo zadowolony”.

Pokój jest bowiem słoneczny, umeblowany ze smakiem. Na podłodze wielki, puszysty dywan, obok pokoju błyszcząca czystością łazienka. — We „wrocławskim” odcinku reportażu p. Wassermanna te wszystkie „hotelowe” sensacyjki zajmują jednak najwięcej miejsca...

Wassermann jest zbyt doświadczonym w swym rzemiośle dziennikarzem, by wszystko to było przypadkowe. Pozwoliło mu bowiem jednak „coś” pisać o Wrocławiu, uniknąć natomiast tak drażliwego tematu, jak podanie przyczyn zniszczenia miasta, widocznego oczywiście jeszcze obecnie. Na tle tych zniszczeń, które jedynie chciał widzieć, nie dostrzegł więc ogromnego wysiłku odbudowy (zwłaszcza w łączności z odbudową całego kraju), na była „Festung Breslau” spojrzął z wysokości zachowanych w całości miast kanadyjskich i stwierdził na pocieszenie serc rewizjonistów:

„Polacy są niezdolni do zagospodarowania Wrocławia, to ich wina, że piękne niegdyś miasto jeszcze dziś leczy rany wojenne”.

Wszystko to napisał w imię „obiektywizmu”, tak wychwalanego przez zachodnioniemiecką prasę rewizjonistyczną.

Ten to „obiektywizm” doprowadził p. Wassermanna do zaiste dziwnych odkryć. Oto, co zauważył na polach PGR w pobliżu Wołowa:

„Bardzo dużo ziemi leży odłogiem. Na innych polach zboże rośnie tylko rzadkimi kępkami. Ale niektóre z uprawianych pól robią wcale dobre wrażenie. Gdy im się bliżej przyglądam, zauważam to samo, co mnie w czasie tej podróży już wiele razy uderzało. Zjawisko to nazywam 'potemkinowskimi polami'. Są to po prostu zwykłe ugory, obsiane dookoła dwu- trzymetrowymi pasami zboża. Za nimi ciągną się już tylko nieuprawiane pola. Czasem taki obsiany pas biegnie jedynie wzdłuż szosy, a dalej tylko ugory, ugory...”.

Już od 12 lat zachodnioniemiecka prasa rewizjonistyczna ćwiczy się w wymyślaniu coraz to nowych „ponurych sensacji” na temat naszych Ziemi Zachodnich, na przykładzie p. Wassermanna widzimy jednak, jak pozbawiona jest ona wyobraźni. Żaden „Ost-West Kurier” czy „Der Schlesier” nie wpadł bowiem na to, by Polakom przypisać zdolności iście genialne w tworzeniu jakiejś gigantycznej wprost dekoracji teatralnej na Ziemiach Zachodnich, i to bez zwrócenia uwagi 7 i półmilionowej ludności tych Ziemi i wielu tysięcy cudzoziemców (w tym sporo Niemców z NRF), którzy podróżowali po naszych Ziemiach Zachodnich. Żałować jedynie należy, że p. Wassermann nie odkrył swoim przyjaciółom-rewizjonistom jeszcze jednej tajemnicy Ziemi Zachodnich: a mianowicie, jak Polacy doprowadzają do tego, że z terenów rolniczych Ziemi Zachodnich obejmujących ok. 30% ogólnego areału krajowego, uzyskują z nich prawie taki sam procent produkcji rolnej, wszystko zaś

wskazuje, że w najbliższych latach będzie on jeszcze znacznie większy. Bez wyjaśnienia bowiem tej tajemnicy przyjaciółom p. Wassermanna cierpnąć będzie skóra na myśl, jacy to cudotwórcy ci Polacy, jeśli uzyskują tyle plonów z Ziemi Zachodnich, kiedy tam kilkumetrowe pasy zboża ukrywają przed okiem podróżnych olbrzymie ugory”...

*

Wszystko to byłoby bardzo śmieszne, gdyby p. Wassermann nie był obywatelem kanadyjskim, z racji swych poprzednich reportaży nie uchodził w pewnych kołach zachodnich za „rzetelnego i obiektywnego dziennikarza” i opinii anglosaskiej w książce angielskiej nie usiłował wmawiać, że przedstawia jej „prawdę o polskich Ziemiach Zachodnich”. Te okoliczności powodują bowiem, że wszystkie te „monopolowe” awantury czy rzewne historyjki o sosie pomidorowym i pomarańczach nie mogą nam zasłonić politycznego celu, jaki się ukrywa za „rewelacjami” tego „turysty wolnego świata”, który przyjechał do nas z paszportem kanadyjskim, z umysłem zaś wprost chorośliwą nienawiścią przesyconym do Polski i Polaków. Jasne jest dziś, że p. Wassermann nie jechał do naszego kraju, aby poznać prawdę o nim, aby opinię zachodniego świata wzbogacić w wiadomość o Polsce, lecz jechał z wyraźnym celem zniekształcenia prawdy. Na tym ani Kanadzie, ani jej narodowi zależeć nie może, gdyż nie ma w Kanadzie człowieka o zdrowych zmysłach, który by w Polsce i jej Ziemiach Zachodnich widział jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla dalekiego od nas, wielkiego kraju. Łatwo natomiast domyślić się, komu, znacznie bliżej nas, zależeć może na takim obrazie Polski, jak go przedstawił p. Wassermann. I cokolwiekby obecnie on twierdził, opinia polska ma pełne prawo wiedzieć w p. Charles Wassermannie jedynie jedno z tych przekupnych piór „V niemieckiej kolumny prasowej”, która działała i działa w świecie na rzecz imperializmu niemieckiego, obojętnie czy spod znaku Hitlera czy też Adenauera!

Cała ta sprawa z p. Wassermannem nie jest w dodatku pozbawiona pewnej bolesnej ironii. Przez swoje pochodzenie należy p. Charles Wassermann do tych ludzi, którzy zapewne nie byłiby przy życiu, gdyby ich od III Rzeszy nie oddzielał Atlantyk⁶. A gdyby nie był dziś obywatelem kanadyjskim, lecz niemieckim i zamieszkiwał stale w NRF, musiałyby się liczyć z możliwością, iż przy łada okazji usłyszałby: „Hitler niestety nie dość Żydów zagazował”. Nie jest to gołosłowne twierdzenie. W liberalnej i socjaldemokratycznej prasie NRF mnożą się wprost doniesienia o coraz liczniejszych objawach antysemityzmu w Niemczech zachodnich, o obelżywych słowach pod adresem ludzi żydowskiego pochodzenia, o przybierającym masowy charakter wandalizm na żydowskich cmentarzach. Na ten temat istnieje już cała dokumentacja, której uzyskanie nie stanowi żadnej trudności dla dziennikarza, jakim jest p. Charles Wassermann⁷. Ci zaś, w których interesie p. Wassermann sfabrykował swój „Dziennik Wolności”, nie znajdują się, w niezbyt jeszcze licznym, gronie tych ludzi, którzy w NRF głoszą konieczność zerwania z przekłętą przeszłością i wyępienia wszelkiego rodzaju hakatyizmu, wypowiadają się natomiast za zrozumieniem innych narodów i współżyciem z nimi⁸. Mocodawcy p. Wassermanna natomiast pieczołowicie chronią w sobie i obok siebie relikty hitleryzmu, który głosił zagładę zarówno Kaczmarków jak i Wassermannów.

⁶ Jakub Wassermann (1873—1934), ojciec Charlesa, pisarz, był — według określenia „Der neue Brockhaus”, wyd. 1939, t. 4, s. 653 — „żydowskiego pochodzenia, przodując wewnątrz żydowskiej grupy literackiej”. — W r. 1937 ukazała się w Niemczech książka niejakiego Kocha pt.: „Jakob Wassermann als Deutscher und Jude. Forschungen zur Judenfrage”.

⁷ „Deutsches Institut für Zeitgeschichte” (DIZ), Berlin. — A19 z 10 IV 1958, „Über den Antisemitismus in der Bundesrepublik”, stron 51. (Por. też w niniejszym zeszycie E. Serwańskiego, Sprawa Zinda (Z problematyki antysemityzmu w Niemczech zachodnich (przyp. red.).

⁸ Pastor Niemöller potępił zdecydowanie wystąpienie Charles Wassermanna, określając go jako „Kanadyjczyka, uprawiającego propagandę”, i „odmówił przyjęcia do wiadomości jego reportażu”. Za zajęcie takiego stanowiska zaatakował pastora Niemöllera tygodnik rewizjonistyczny „Die Brücke”. (W/g „Dziennika Zachodniego” z 30 V 1958).

Fakt pozostaje jednak faktem, że jedna z najbardziej nienawistnych, kłamliwych i obelżywych książek rewizjonizmu zachodnioniemieckiego wyszła spod pióra p. Charles Wassermanna, obywatela kanadyjskiego. Polonia kanadyjska ma obecnie okazję zapytać: jakim to interesom kanadyjskim służy p. Wassermann, dezorientując opinię świata zachodniego w interesie rewizjonistów zachodnioniemieckich, gotowych choćby jutro pograżyć znów świat w odmetach nowej wojny?

FLORIAN MIEDZIŃSKI

SPRAWA ZINDA

(Z problematyki antysemityzmu w Niemczech zachodnich)

W dniu 11 kwietnia 1958 r. skazany został przez pierwszą wielką izbę karną sądu krajowego w Offenburgu (w Badenii) w Niemczech zachodnich na jeden rok więzienia *Studienrat* Ludwik Zind, nauczyciel matematyki i biologii w gimnazjum offenburskim za obrazę i uwłaczanie pamięci zmarłych oraz za zagrożenie zbrodnią i jej pochwalanie.

Sprawa ta odbiła się rozległym echem nie tylko w całych Niemczech, tzn. w NRF i NRD, ale również i zagranicą. Zind stał się „sławnym” na skutek swego wystąpienia antysemickiego w kwietniu 1957 r. Cała opinia niemiecka została wystąpieniem Zinda głęboko poruszona. Wielokrotnie stwierdzano w wypowiedziach dziennikarskich i publicystycznych, że sprawa wykracza daleko poza osobę Zinda. Wystąpienie Zinda świadczy o istniejącym w Niemczech zachodnich zjawisku antysemityzmu.

Niezwykły był początek tej sprawy. Oto pewnego kwietniowego wieczora 1957 r. spotykają się w Offenburgu w restauracji przy kuflu piwa, przy jednym stole, zaledwie znający się wzajemnie: właściciel hurtowni tekstylnej Kurt Lieser i Zind. Zind zaprasza jeszcze do stołu siedzących obok dwóch swoich dawnych uczniów gimnazjalnych, obecnie studentów. Jeden ze studentów jest synem dyrektora gimnazjum, w którym uczy właśnie Zind.

Rozmowa zesłała na politykę, m. in. na stosunki, jakie panowały w III Rzeszy hitlerowskiej. Zind oświadcza w pewnej chwili, że ani Hitlerowi, ani jego współpracownikom nie ma nic do zarzucenia. Kupiec Lieser zapytał przeto Zinda o zdanie w sprawie bezczeszczenia cmentarzy żydowskich, co miało niedawno miejsce w północnej części Niemiec zachodnich. Zind i w tym przypadku oświadcza, że sprawcom tego nie ma również nic do zarzucenia. Wobec tego Lieser oświadcza, że jest żydowskiego pochodzenia, o czym Zind nie wiedział. Lieser przebywał w czasach hitlerowskich w obozie, gdzie musiał znieść ciężkie zniewagi, a jako przykład traktowania podał fakt, że jeden ze strażników, SS-man wybił mu dolną szczękę.

Opowiadanie i dodatkowe uwagi Liesera skwitował Zind krótkim stwierdzeniem: „Zdaniem moim, stanowczo za mało Żydów zostało zagazowanych”.

Po tym oświadczeniu Zinda potoczyła się wartko wymiana zdań. Lieser przypomnił jeszcze raz, że w III Rzeszy był jako półzyd w obozie koncentracyjnym. Na to Zind: „A zatem, zapomniano pana zagazować”. Lieser do Zinda: „To i dzisiaj zesłałby mnie pan do obozu koncentracyjnego, gdyby była taka możliwość?”. Zind: „Tak. I chcę powiedzieć, ja jeszcze pana wykończę”. Lieser: „I moją żonę także by pan zagazował?”. Zind: „Tak. Zrobiłbym to samo”. Lieser: „Mam dwoje dzieci...”. Zind: „Te ostatecznie mogłyby zostać przy życiu. Zresztą jestem dumny z tego, że w czasie wojny z moimi ludźmi setkom Żydom łopatami karki rozwaląłem”.

Gdy studenci, stając w obronie Liesera, wyrazili dezaprobatę na poglądy swego